(Registered for transmission abroad.)

DEMOKRATA POLSKI.

Demokrata Polski wychodzi co dwa tygodnie.—Opłata na Dziewięć półarkuszy : w Anglii szyl. 3, we Francyi fr. 3 cent. 75, w Polsce złp. 6.

Dnia 15go Grudnia 1859.

Wszystkie listy, pisma, dzienniki, piéniądze, mandaty, i. t. d., przeznaczone do *Demokraty*, równie jak do Centralizacyi, mają być przesyłane pod adresem : *Mr Anthony Zabicki, 2, Thanet Street, Burton Crescent, London. W. C.*

XXIX ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO.

Zarządzony przez Sekcyą Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w Londynie obchód rocznicy 29 Listopada odbył się w sali, pod Nr. 40, *Charles Street, Hatton Garden*. Zgromadzenie złożone było z członków i kilkunastu przyjaciół. O godz. 9 wieczorem przewodniczący zgromadzeniu członek Centralizacyi, Ludwik Bulewski zagaił posiedzenie następującą przemową :

Bracia !—Znowu razem, znowu ze łzą smutku cisnącą się do źrenicy naszéj, i znowu z sercem pełném jednego i tego samego uczucia, pomimo wszelkich odcieni politycznego wyznania, zbiegliśmy się razem ; bo połączeni jesteśmy pamięcią téj wielkiéj nocy, któréj w téj chwili rocznicę obchodzimy, bo każdy z nas dopisuje zarówno na karcie swojego żywota jeden więcéj rok wygnania, rok walki i wytrwałości. A że lat takich upłynęło już wiele, świadczą pomiędzy nami te głowy sędziwe, schylone pod ciężarem ćwierć przeszło wieku podejmowanego posłannictwa i obowiązków emigracyjnych, których to my, od nich młodsi, spadkobiercami jesteśmy, a po nas jeszcze młodzi tymiż pozostaną—aż do chwili wywalczenia Polski.

Cześć wam, o ! wy, którzy zraszając krwią ojczystą ziemię, złożyliście jéj życie w ofierze, czy to w nocy 29 Listopada, czy w katuszach męczeńskich na szubienicy, w pieczarach kopalni Sybiru, lub w ciemnicach tylu więzień ! Cześć waszéj pamięci, cześć ! Krople krwi waszéj, bole i łzy wasze spadły jak ziarno na obfitą glebę, bo odrodziły się w nowych ofiarach, które przelewały krew na rozmaitych polach bitew w imie wolności, i wydawały co raz świéżych męczenników padających pod ręką rozmaitych katów.

Bracia, każdy z nas, raz przestąpiwszy granicę ojczyzny i stając tu jako wygnaniec, czy chce czy nie, staje się uczestnikiem tego wielkiego posłannictwa do ludów świata, jakie obrońcy rewolucyi 1831 r. podjęli, zamieniając oręż swój zwycięzki na kij pielgrzyma, tak że pomimo tylu zaprzańców, zbiegów i zdrajców, kto powiada, że jest wygnańcem i nosi imie Polaka, temu ludy podają rękę jako bratu, bo to imie należy do człowieka, który tylko wolnym, nie znającym różnicy pomiędzy ludźmi i kochającym ich jak braci, być może.

Jeżeli każdy z nas już jako wychodziec polski powinien pamiętać, że każda chwila życia jego, nie do niego, ale do Ojczyzny należy, że opuszczając ją, poświęcił wszystko co tylko człowiek stracić może ; jeżeli każdy z nas przez samo przystąpienie do zastępu posłanników Polski, jakim jest jéj Emigracya, bierze na siebłe odpowiedzialność za każdy krok polityczny, za każdą chwilę przeżytą bezowocnie dla sprawy ;—jakież dopiéro obowiązki nie ciężą na nas, członkach Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, członkach tego ciała, które podjąwszy myśl kraju, przejąwszy się jego potrzebami i otrząsnąwszy się z przesądów przodków, pojęło prawdziwie wolą jego, wzięło się od razu do pracy wspólnéj z krajem, to przygotowując go ażeby *módz byé*, czyli powstać o własnych siłach, to wyręczając go w dyskusyi jemu wzbronionéj, i przedstawiając mu takowéj owoce za pomocą pism i wysłanników, ażeby wiedział *jak być*, czyli w imie czego miał powstać. Ztąd téż, Obywatele, gdy prace i życie polityczne Towarzystwa Dem. są własnością kraju, przedłużeniem jego życia politycznego, manifestacyą niestłumionych jego narodowych aspiracyi i dowodem jego żywotności, nam mniéj aniżeli komukolwiek wolno być bezczynnymi ; ztąd na nas większa aniżeli na kimkoiwiek ciąży odpowiedzialność za czas zmarnowany, i daleko więcéj jest naszym jak wszystkich poza nami obowiązkiem, być gotowymi w każdéj chwili, aby na każde zawołanie w imie sprawy módz odpowiedzieć : "jesteśmy !"

Towarzystwo Demokratyczne nie czerpie swéj potęgi w liczbie członków ; jego siła moralna opiera się na zasadzie, któréj rozwój kraj przyjął i złożył tego dowody przez manifest krakowski, przez wszystkie konspiracye i jawne objawy swego życia ; na pracach na ziemi ojczystéj, zraszając ją krwią swoją męczeńską ; na nieodstąpieniu ani na chwilę dla żadnych środeczków od myśli czysto narodowéj ; jedném słowem, na nieszukaniu Polski poza Polską, ale na silnéj wierze, że tylko przez Polskę do Polski droga. Dowodem téj siły Tow. Dem. jest : że ani zawody 1848 r. ani szkalowania jezuitów, ani dezercye przez amnestye, ani nawet naprzeciwstawienia się jemu jego wyborowych niegdyś członków, podobnych do piérwszych zbuntowanych duchów naprzeciw ich stwórcy, wraz z prześladowaniem rządów nie zabiły go, ani nawet nie potrafiły życia jego zawiesić na jednę chwilę. Albowiem życiem Towarzystwa Dem. jest myśl kraju, i jako ta nie umiera, tak téż ze śmiercią któregokolwiek z nas chorągiew jego w trumnie do grobu nie zejdzie ; bo chorągiew Twa to nie szmata, ale pochodnia ciągle gorejąca, zapalona ogniem wydobywającym się z łona Polski zpod trzech skorup niewoli przez szczeliny otwierające się to w skutek parcia zewnętrznego, to osłabienia dzisiejszego tyranów trudnościami ich wzajemnego współistnienia. Mniejsza zatém o liczbę rąk, które pochodnię trzymają, byleby były czysłe i wznosiły ją zawsze w górę. Że tak jest a nie inaczéj, zobaczymy, rzucając okiem na 10 lat ostatnich życia Twa. Ileż to walk, ileż zwątpień, na ileż to cząstek zachwiani w wierze rozsypali się, chcąc każda coś nowego na swoję rękę wymyslić ? a zaiedwo coś porodzono, już grzebać musiano ; gdy tymczasem Tow. Dem. tracąc członków, nie traciło nic moralnie i tylko materyalne środki jego mogły się uszczuplać. Zresztą, jednym dowodem więcéj jego siły moralnéj, jako jedynego ciała, przez które możemy dopełnić naszego obowiązku emigracyjnego względem Polski, a późniéj przez Polskę dla Ludzkości, jest to : że nawet jego odstępcy nie śmią go się zaprzeć, zerwać z jego przeszłością lub wystąpić przeciw jego zasadom, ale przeciwnie, odziewając się jego imieniem przywłaszczają sobie jego powagę, opartą na jego przeszłości, poza którą nie ma w Emigracyi nic, do czego kraj mógłby stę przyznać ; korzystają z obecnych nieprzyjaźnych dla Towarzystwa okoliczności, i ażeby podchwycić zaufanie ludzi nieobznajonych z prawdziwym stanem rzeczy, sprowadzić ich na manowce i nstręczające się dobre chęci nawinąć około swoich osobistości, wykrzykują : nie masz Towarzystwa !—precz z kontrolą w naszych działaniech !—wola większości, to nonsens !..

Dla nas, Obywatele, wola większości, którą to na łonie Twa uczymy się szanować i uznawać za obowiązującą, jest jednym z najpotężnieszych ogniw życia naszego, jako ciała zbiorowego, i uszanowaniem jéj dajemy krajowi rękojmię porządku społecznego, zrzeczenia się zachcianek osobistych i uznania już tutaj wszechwładztwa ludu polskiego. Bez ścisłéj kontroli w pracach naszych i czuwania nad poddaniem się każdego z nas téj jedynéj woli wszechwładnéj, nie byłbyśmy w stanie dopełnić naszego obowiązku rewolucyjnego, w chwili powstania, czego dowodem rok 1848, i legalnego w Polsce już wolnéj jako obrońcy i stróże praw ludowych, naprzeciw podstępnym i zdradliwym ambicyom i pretensyom rządzców.

Obywatele, chwila, w któréj będziemy powołani do walki, nie może być przewidzianą. Czas, jak długo ten stan fałszu politycznego uda się kuglarzom koronowanym przeciągnąć, ani my ani oni sami nie potrafią oznaczyć. Ale że naprężenie tak zwanego pokoju europejskiego zbliża się do explozyi, że postrachy, podejścia i uzbrojenia nad siły wycieńczają co raz bardziéj najezdzców, że tyrani widzą z każdym dniem ubytek swych zasobów moralnych i materyalnych, że postęp, ten nieubłagany ich nieprzyjaciel, uderzając jak taranem o podstawy ich bytu, co raz silniéj je obrasza, zwłaszcza przy niebezpieczném zamieszaniu, jakie pomiędzy panującymi z łaski bożéj zrobił szczęśliwy awanturnik, chcąc się niém ratować, dowodem dzisiejsze ustępstwa, w których nawet Austrya, ów filar despotyzmu, jezuityzmu i wszelkiéj wsteczności zmuszoną jest szukać ocalenia. Ale kto pamięta, jak w r. 1848 przy piérwszym jéj zwrocie ku siłom, wszystkie swobody wydarte nam zostały z lichwą, ten nie uwierzy w szczérość i trwałość łask Austryi, które jéj strach ze szponów wydziera. Nie łudźmy się imionami do naszych podobnymi, które mordercy ojczyzny do rady swéj wzywają ; są one tam powołane, ażeby ich zbawić a nas zgubić ; bo życie tyranów, to nieustająca śmierć ojczyzny. Ale niech krajowcy korzystają z ustąpień, jakie im czynią ; im więcéj im dają, niech tém więcéj i głośniéj żądają ; niech świat usłyszy ich głos, aż dopóki nabrawszy sił, jutro nie odbierzemy sami tego czego nam żadne kombinacye dyplomatyczne nie oddadzą. Polska zawsze będzie pominięta we wszystkich układach i przekładach Europy ; bo Polska to rewolucya europejska, bo tylko wpośród wolnych ludów Europy Polska wolna ostać się może. Nie, bracia, nie łudźmy się żadną pomocą, żadną przychylnością ze strony któregokolwiek bądź tronu ; ich interes jest jeden i ten sam ; oni w kwestyi polskiéj wszyscy się zgodzą: to jest : na jéj grób. Zwróćmy całą nadzieję w siły 22milionowego ludu ; zatrzyjmy wszelkie różnice stanów, klas i prowincyonalizmu ; pokonajmy wszelkie wstręty rodowe i religijne ; i podajmy sobie ręce jako dzieci jednéj matki ; a miłością połączeni, przy piérwszéj sposobności jedném zachceniem będziemy w stanie zostać wolnymi.

Z drugiéj strony unikajmy wszelkich pojedyńczych, częściowych, niecierpliwych i lekkomyślnych wyskoków, mogących przynieść szkodę sprawie narodowéj. Czynu, do którego powtórzenia, gdy się raz nie uda, potrzeba przez całą generacyą się przygotowywać, nie wolno, ani byle jak, ani byle kiedy, ani byle komu rozpoczynać. Powstania, które jest jedyną nadzieją odzyskania Polski, nie wolno próbować, ale potrzeba do podniesienia go wszystkie warstwy i wszystkie prowincye poruszyć. Potrzeba przedewszystkiém się przekonać czy lud jest z nami. Dziś mamy zręczność i dowiedzieć się o jego usposobienin i zjednać go dla sprawy ojczystéj przez oświecenie i uwłaszczenie. W miarę postępu téj pracy, możemy obliczyć i bliskość i pewność zwycięztwa.

Emigracya zna swoje obowiązki. Oby je tylko chciała dopełnić, nie ćwiartując się, ale wiążąc się ; bo tylko razem, jako ciało polityczne, może godnie spełnić swoje posłannictwo. Już podwakroć w 1846 i 1848 Emigracya uznała

tę prawdę i swą większością zlała się z Twem Dem. toż samo uczyni, gdy ją nowe usiłowania i nowe wypadki powołają do czynu.

My zaś, członkowie Twa, nie licząc ile nas staje do pracy, czy to dziś, aby wytrwać, czy to jutro, ażeby walczyć, nie odstępujmy obowiązków raz podjętych, i trzymajmy wzniesioną w górę pochodnię wolnéj dyskusyi aż do chwili, w któréj słońce wolnéj opinii ludu polskiego nie ściemni jéj blasku i swobody zabezpieczające trwałość jego wszechwładztwa nie zwolnią nas ze służby dodrowolnych jego stróżów.

Następnie przemówił członek Twa, J. Faleński, kreśląc skutki zgubne łagodnéj Aleksandra II polityki względem Polski i nowe ztąd dla sprawy narodowéj niebezpieczeństwa. W końcu dzugi czł. Twa, M. Werecki powiedział kilka słów w imieniu Sekcyi do obecnych rodaków, wzywając ich do łączności, któréj okazał potrzebę, i przedstawił wniosek założenia klubu polskiego w połączeniu z czytelnią. Myśl ta była z zapałem przyjętą. Jakoż wybrano natychmiast komisyą do ułożenia projektu i przedstawienia go ogółowi Emigracyi w Londynie do przyjęcia; po czém zgromadzeni rozeszli się.

KORESPONDENCYE.

Z okolic Paryża, 5 Grudnia 1859.

Dzisiaj mam wam zdać sprawę o obchodach 29téj rocznicy powstania Listopadowego. Gdybym pisał do obcego, nie do polskiego dziennika, pokryłbym milczeniem wszystko, cokolwiek mnie na tych obchodach raziło; ale Polakom, czytelnikom Demokraty, nie mogę, nie powinienem ukrywać mego zdania. Będę więc i dziś pisał po swojemu, nie obwijając nic w bawełnę.

Zrana, albo raczéj około południa, były dwa nabożeństwa: jedno w kościele *Sgo Wincentego a Paulo*, drugie zaś w kościele *Wniebowzięcia*. Na tém ostatniém wystąpił ksiądz Jełowicki z kazaniem czy przemową, i gdyby był mówił stósownie do obranego textu, byłby zapewne nie jednego pocieszył i zadowolił; ale ten wielebny ojciec Zmartwychwstaniec, extrawagując jak zwyczajnie, od obranego textu zjechał wnet do ubolewania znowu nad papieżem, któremu—jak wiadomo—nic się złego nie dzieje; daléj, oznajmiwszy, że właśnie 29go rozpoczynała się nowenna do Niepokalanego poczęcia M. B. zachęcał słuchaczów do jéj odprawowania i do starcia—jak mówił—tym sposobem *plamy*, którą Polacy mieli się zmazać, walcząc w Rzymie 1848 r. Pomieszał ksiądz Jełowicki rzeczy święte ze światowémi, jak gdyby nie wiedział o maxymie, któréj się duchowni trzymać powinni: *Ne misceantur sacra profanis !*

O godzinie drugiéj po południu Towarzystwo Literacko-Historyczne odbyło publiczne posiedzenie w Bibliotece Polskiéj. Przy szczupłości lokalu zgromadzenie zdawało się dość liczném, chociaż nie było więcéj nad 100 osób. Niebawem zabrał głos Teodor Morawski, wice-prezes rzeczonego towarzystwa. W swéj krótkiéj przemowie doniósł o zaszłéj świéżo śmierci księżny Anny Sapieżyny, świekry Czartoryskiego, i tém samém o niemożności tego ostatniego, jako prezesa, przewodniczenia posiedzeniu. Na poparcie słów swoich odczytał Morawski wystósowany do siebie list przez Czartoryskiego. Prezes Towarzystwa Literacko-Historycznego nazywa w tym liście 29ty Listopada "dniem niezatartéj dla nas pamięci, i który na zawsze pozostanie przeważnym w dziejach narodu." Czemuż go tak nie nazwał, 29 lat temu, zamiast go nazywać "smutnémi i niespodziewanémi wypadkami", i zamiast jeździć z Lubeckim do carewicza Konstantego z prośbą "o uśmierzenie—jak się wyraża Mochnacki—*rozruchu* zbrojną ręką"?—W tym liście mówi daléj Czartoryski, że "aby sprawie narodowéj mógł służyć, potrzebuje całego ze strony Rodaków poparcia, i po siedemdziesięciu latach służby krajowéj(!?),* spodziewa się, że mu to nie będzie odmówioném." — "Tego — są jeszcze jego słowa — mam prawo żądać i dla moich synów i zięcia(*sic!*), którzy są już dla mnie w pracach pomocą, i o których równie jak o mnie, chciéjcie, Panowie, być przekonani, że i nadal razem z wami, na téj saméj drodze, wiernie i wytwale, służyć będą sprawie ojczystéj." Nie mogę się tu wdawać w komentarze nad témi słowami, które są nowym dowodem nie tylko śmiesznych ale już i bezwstydnych uroszczeń niby-dynastycznych; bo to przechodziłoby granice mojéj korespondencyi, która i obszérną być nie może, i zwykle dorywczą bywa. Może późniéj będę miał sposobność przypomnieć je i rozebrać. Tymczasem nie od rzeczy tu nadmienić, że właśnie teraz, kiedy Czartoryski udaje patryotę *par excellence*, i pragnie wyrobić dla swego potomstwa patent swobody na dalsze frymarki w sprawie narodowéj, żona jego—zwana niegdyś przez *Trzeci Maj* "Matką Narodu"—otrzymała paszport, którego jeszcze przed wojną włoską żądała, na podróż do Polski, i jużby zapewne była wyjechała, gdyby nie silne przełożenia niektórych lepsze poczucia mających domowników hotelu Lambert. To jest fakt niezawodny, i tylko tak starannie tajony, że mało komu w Paryżu wiadomy. Ludzie nawet mówią—ale za to nie ręczę—że i obaj synowie mają już w kieszeni gotowe paszporta do Polski. Toby mnie wcale nie dziwiło, mianowicie co do starszego, który—jak wiadomo—ożenił się z Grocholską, za pozwoleniem Mikołaja.

* Nie bez przyczyny położył tu nasz korespondent znak wykrzyknienia i zapytania. Czartoryski 3 Maja 1854 r. (zob. *List Otwarty* do niego przez Jana Konopskiego) liczył sobie tylko 40 lat *służby krajowéj*; w poufnéj odezwie do "Rodaków" z miesiąca Sierpnia r. b. tylko lat 60; a teraz, w trzy miesiące późniéj, aż lat 70! Cóż to za *crescendo* bezwstydu? (*Przyp. Red.*)

Wracam do posiedzenia. Morawski, po odczytaniu listu Czartoryskiego, przedstawił zgromadzeniu, w bardzo pochlebnych wyrazach, Br. Trentowskiego, i dał mu głos. Trentowski, który większą część czasu od 1831 r. przespał politycznie za Renem, między ideologami niemieckimi, był zrazu ciekawie, potém niemile, ale jednak spokojnie słuchany; mówił zaś przeszło godzinę. Istotnie, nie mógł on się nikomu podobać, ani nawet właścicielowi hotelu Lambert, któremu straszliwie kadził, zowiąc go jedynym, jak zawsze tak i teraz, sprawy polskiéj naczelnikiem, i przymawiając mu się, o taki sam przytułek w hotelu Lambert, jaki niegdyś w Puławach mieli Kniaźnin, Zabłocki, Bończa Tomaszewski i inni. Różne też były zdania o téj mowie naszego filozofa eklektyka, który i w polityce chce być eklektykiem t. j. bałamutem; boć wszelki eklektyzm jest bałamuctwem. Żadne też z tych zdań nie było przychylne. Jedni mówili, że to była rozprawa: "O wszystkich rzeczach i niektórych innych"; drudzy złośliwsi, że tylko po prostu: *Oratio pro domo suá*. Co do mnie, ja zapewne nie mogę wszystkiego w niéj ganić; bo były w niéj głębsze i trafne na wiele rzeczy poglądy, godne poważnego rozmyślacza; ale jednéj, panującéj myśli, z którąby się wszystkie inne w jedno pasmo wiązały, nie było. Dla tego téż tę mowę Trentowskiego przyrównałbym do kupy sieczki z owsem lub —mówiąc nieco pochlebniéj—do kupki pszenicy z plewami i kąkolem. Kto zna jego pisma, a mianowicie: *Wizerunki duszy narodowéj; Przedburzę* lub *Stósunek Filozofii do Teologii*, ten łatwo zgadnie, w jakim duchu przeszło godzinę prawił. Z tego ostatniego pisma powtórzył wiele rzeczy; i tak, ma bezwarunkowe uwielbienie dla katolicyzmu, ale dla takiego, jakiego nigdy nie było, nie ma i nie będzie; demokratów nie nazywa jak dawniéj libertynami ale jakobinami czérwonymi, a jezuitów już nie hierologami ale jakobinami czarnymi, i jak na jedných tak na drugich bije najzawzięciéj, stawiając ich na jednéj linii. Że sławny *Ojczyźniak* tém swojém wystąpieniem odsłonił tylko lepiéj swój lichy charakter, i nikogo sobie nie zjednał, to zdaje się nie ulega żadnéj wątpliwości. Wątpię téż bardzo, aby otworzył płatny kurs Estetyki, który miał otworzyć w *Cercle des sociétés savantes*, gdzie w roku zeszłym Leon Zienkowicz z niemałém powodzeniem miewał kurs Literatury. Po Trentowskim nikt już więcéj w Towarzystwie Literacko-Historyczném nie mówił, i zgromadzenie rozeszło się, okazując ponurém milczeniem swe niezadowolenie.

Drugi obchód był na *Batignolles*, w gospodzie czy w restauracyi *Richefeu*, obok Szkoły Polskiéj. Był to właściwie wspólnie umówiony i niejako składkowy obiad, gdzie każdy płacił za siebie oznaczoną cenę. Ten obchód był zapowiadany od połowy Listopada; rozgłaszano po Paryżu, że mieli nań zjechać, z północy i z południa, dwaj ludzie mający niegdyś wziętość w Towarzystwie Demokratyczném Polskiém, a dziś stojący na boku.* Ja wiedziałem naprzód, że z tego nic nie będzie, i że to był tylko fortel ze strony pewnych osób — których wam tu wymieniać nie potrzebuję — aby pewien mowca miał więcéj niż w roku zeszłym słuchaczów. Jakoż sztuka się udała; przybyło blisko 300 osób. Do tak licznego zebrania nie mało się przyczyniły i imiona dwóch zasłużonych mężów, z których raz jednego, drugi raz drugiego naznaczano za przewodniczącego temu obchodowi. Chcę mówić o pośle Jędrzejewskim, Janie Ledó-

* Mowa tu o W. Heltmanie z Bruxelli, i o J. Wysockim z Marsylii. (P. R.)

chowskim, i o Walentym Zwierkowskim, deputowanym Warszawskim. Nie wiem istotnie, komuby się było przewodnictwo dostało; ale z powodu, że Walenty Zwierkowski od niejakiego czasu i dość niebezpiecznie chory,§ przyjął je chętnie Jan Ledóchowski. Jakkolwiek można się różnić z Ledóchowskim w zdaniu względem niektórych osób, miło jest jednak widzieć w nim człowieka postępu, stojącego od lat wielu po stronie demokratycznéj; a jeźli sobie i to przypomnim, że to on wyrzeczeniem: *Nie ma Mikołaja!* zdecydował sejm polski (25 Stycznia 1831 r.) do aktu detronizacyi, łatwo pojąć, że nie jeden, co go nigdy nie widział, rad był oglądać jego sędziwe, poważne oblicze, i posłuchać kilka słów z ust jego. Jakoż Ledóchowski mile był od wszystkich widziany. Głos jego, w środku obiadu, powiedziany z godnością, zyskiwał huczne oklaski, mianowicie kiedy mowca ponawiał swe wyznanie wiary politycznéj, i wyrzekł, że Polska powstanie tylko na zasadach czystéj demokracyi, jakie Chrystus wszystkim ludom zalecał, i że on nie przypuszcza, ażeby w innym kształcie powstać mogła. Nie wiem tylko, czy w przypuszczeniach swoich nie posunął się za daleko, kiedy mówiąc o Emigracyi, twierdził, iż teraz powinna czekać, dopóki z kraju nie zawołają: *Już czas!*—Albowiem to hasło mają nam dać—podług niego—"ci współbracia z kraju, którzy nie dla płonnych zabaw lub marnotrawienia dostatków, lecz dla bliższego pobratania się z Emigracyą, wyjechali za granicę." Gdyby nawet te słowa szanownego mówcy miały się stósować, nie do ogółu wojażerów polskich, którzy się wcale z Emigracyą nie bratają, ale do obecnéj na obchodzie garstki młodzieży krajowéj, to i tak widziałbym w nich przesadzony komplament; bo przecież téj młodzieży ani za wysłanników ani za czoło i wybór narodu uważać nie można. Na hasło z kraju, zgoda; ale nie od wojażerów!

Po głosie przewodniczącego wzniósł toast: "Pomyślności Ojczyzny!" dawniéj pułkownik a dziś jenerał Jerzmanowski, który z Napoleonem I. był na wyspie Elbie, i z nim w r. 1815 do Francyi wylądował.

Następnie Lewandowski, profesor ze Szkoły Polskiéj na Batignolles, czytał wypracowanie, w którém dowodził, że żaden z trzech łupieżców Polski nic sam dobrowolnie nie odda. Podług mnie, wychodziło to na jedno, co dowodzić, że dzień jasny, kiedy słońce świeci, lub że noc ciemna, kiedy nie ma księżyca na niebie. Dalej, popisywał się Lewandowski z frazeologią demokratyczną, w której zdaje się dosyć być biegłym; lecz twierdząc, jakoby Centralizacya była dziś *marzeniem*, t. j. jakoby wcale nie istniała, złożył tylko dowód, że jest tak dobrze złéj wiary maruderem demokratycznym, jak ci, na których także utyskuje, i którzy, odstąpiwszy, jak on, od lat 28 uorganizowanego związku, pragną dziś na swoję rękę w imieniu Demokracyi działać.

Po Lewandowskim deklamowali swe wierze: profesor A. Sągajłło i malarz Kapliński. Ostatni musiał powtarzać jeden ustęp, w którym rzuca przekleństwo na tych niegodnych imienia polskiego panów i panie, co, podczas ostatniego pobytu cara w Warszawie, słali mu się pod nogi.

Przyszła nareszcie koléj na Ludwika Mierosławskiego, który, jak głoszono, nie miał mieć tym razem pretensyi do mówienia. Mówił Mierosławski nie tak mglisto i ognisto jak w przeszłym roku, kiedy miał za słuchaczy tylko samych, tak przez siebie nazwanych "spadkobierców podchorążych i akademików warszawskich." Nie uderzał on, istotnie, tyle co w przeszłym roku zbyteczną oryginalnością swego wysłowienia, i zdawał się stósować do rady przewodniczącego Ledóchowskiego: "aby wszyscy, których opatrzność wyższémi zdolnościami umysłowémi obdarzyła, zrozumiałym językiem do narodu przemawiali." Mówił jednak zawsze szumno-dumno i zupełnie z partesu, przechadzając się ciągle i machając rękami na wszystkie strony, obyczajem niepolskim i mało godnym człowieka poważnego. Podnoszenie do góry czérwonéj czapeczki z pawiém piórkiem—jakoby na znak, że rzeczpospolita polska będzie tak czérwona—uzupełniło tę dziwną i niepotrzebną mimikę. Widać, że Mierosławski nie korzystał z przestróg, jakie mu *Demokrata Polski* dawał już w r. 1838, d. 10 Grudnia. Lecz prócz tego, muszę jeszcze wytknąć Mierosławskiemu parę punktów z jego mowy. Mierosławski robi wyrzuty Krajowi, że nie powstał ani w r. 1848, ani podczas wojny krymskiéj. Powiem tu w porę, że jeżeli komu, to Mierosławskiemu nie godzi się coś podobnego mówić. Mierosławski, podług planu, który się był podjął wykonać, miał w 1846 z Poznańskiego wtargnąć do Królestwa. Jeżeli zaś nieszczęście chciało, iż tego planu nie mógł wykonać w r. 1846, czemuż go nie wykonał w r. 1848? Okoliczności były nad spodziewanie sprzyjające. Mierosławski dawszy się uwikłać Willisenowi, nie chciał przejść Prosny; sadowił się w Poznańskiém, jak gdyby Poznańskie było całą Polską. Zwycięztwa pod Miłosławiem i Wrześnią, gdyby nawet były wyłączném dziełem mądrych jego rozporządzeń, nie zaś dzielności ducha ludu polskiego, nie dają mu prawa do przemawiania do narodu tonem hetmana, który dopełnił swojéj powinności. Nie z Prusakami z téj strony, ale z Moskalami z tamtéj strony Prosny, pod Częstochową lub Warszawą, było wówczas do czynienia. Mierosławski nie tylko ze swéj strony o wtargnięciu do Królestwa nie zamyślał; ale innych w Krakowie i we Lwowie, od podobnego zamiaru odwodził.—Co do czasów wojny Krymskiéj, wiadomo powszechnie, że Mierosławski był przeciwny powstaniu w Polsce, którego pragnęła Centralizacya, i uwierzywszy wraz ze swymi zwolennikami obiecankom niby-dyplomatycznym, chciał gwałtem *Legionów Polskich* za granicą t. j. na cudzym żołdzie i od cudzéj woli zawisłych; bo to rzecz niezawodna, że kto wojsku płaci, ten mu i rozkazuje. Otóż, pytam się, czy Mierosławski, po tém wszystkiém, może porówni z Demokracyą uorganizowaną robić powyższe wyrzuty Krajowi?—Dziwném także, przy końcu mowy Mierosławskiego, zdawało mi się wzywanie Kraju do jak najspieszniejszego powstania, do powstania koniecznie, *póki jeszcze Emigracya istnieje!* Nie ma zapewne emigranta i poczciwie myślącego Polaka, któryby sobie nie życzył jak najrychléj skruszyć obce jarzmo. Nie podpada także wątpliwości, że Emigracya może dostarczyć Ojczyznie znaczny kontyngens ludzi uzdolnionych do różnych gałęzi służby publicznéj, podczas walki o niepodległość. Nie zdaje mi się jednak, aby bez obrazy rozsądku i uczucia narodowego, utrzymywać można, że jak tylko Emigracyi—a rozumié się i Mierosławskiego—nie będzie we Francyi lub gdziekolwiek na świecie, Polska musi wówczas pożegnać się z nadzieją w swoje odrodzenie, i powiedzieć sobie: *Finis Poloniæ!*

Otóż i macie sprawozdanie z paryzkich obchodów 29 Listopada; jest ono może nieco za obszérne; ale nie obejmuje nic takiego, coby mogło uledz zaprzeczeniu.

Pozwólcie mi jeszcze zrobić tu jednę uwagę.

Niezawodnie, wolę ja ludzi *możnych w uczynku*—jak się wyraża Pismo—aniżeli takich, co są tylko *możni w słowie*; wolę demokratów zorganizowanych w Towarzystwie, aniżeli demokratów luźnych i podobnych niejako do maruderów, co stronią od wojska działającego na linii bojowéj, wszelako—i mimo to wszystko, co mi tu moje polityczne sumienie nakazywało powiedzieć o obchodzie na Batignolles—potrzeba przyznać, że ten obchód miał jednak wyraźne znamie manifestacyi demokratycznéj, zwłaszcza jeżeli go będziemy uważali odnośnie do obchodu odbytego w Bibliotece Polskiéj. Jestto zawsze dowód, że myśl demokratyczna stoi górą, a nie stałaby tak—pamiętajmy dobrze o tém—gdyby jéj Towarzystwo nie było manifestowało 28 lat temu, i dotąd ciągle nie krzewiło w Emigracyi i Kraju. Przed 17 Marca 1832 r. nikt z Polaków nie mówił o demokracyi w zastósowaniu do sprawy narodowéj.

P. S. Dzienniki paryzkie nie zrobiły żadnéj wzmianki o obchodach 29go. To milczenie, najprawdopodobniéj z góry nakazane, jest bardzo wymowném; dowodzi bowiem czego narodowości mają się spodziewać od swoich opiekunów na przyszłym kongresie. *Siècle* tylko i *Débats* rozwodziły się szeroko, w tych dniach, o Sapieżyny i o żałobie, jaką jéj śmierć miała okryć całą Emigracyą i Kraj; alež to naszych wrogów obrażać nie może, a zresztą trzeba wam wiedzieć, że redaktorzy tych dzienników bywają po książęcemu podejmowani w hotelu Lambert, i dla tego podobno najwięcéj robią się jego *porte-voix*.

(J. N. Janowski)

WARSZAWA, Listopad 1859.

Nie mając do doniesienia wiadomości z życia publicznego, które

§ W téj chwili dowiadujemy się, że Walenty Zwierkowski, który był członkiem Tow. Dem. Pol. umarł d. 14 b. m. Bliższe szczegóły o życiu i śmierci jego podamy w przyszłym numerze. (Przyp. Red.)

by były wynikiem działań i woli narodu, nie pozostaje mi jak wam opowiedzieć różne wydarzenia, które się publicznie działy, lub o których mówiono tak głośno, jakby publicznie, a choć należą do wiadomostek efemerycznych, zawsze są jakim takim obrazkiem życia naszego.

Bytność cara tą razą nie zawracała głów spodziewanémi dobrodziejstwami dla kraju. Najzawzięt optymiści zostali radykalnie z chorobliwych oczekiwań wyleczeni, dzięki zasadom rządu i gorliwości wykonawców. Cierpienia chronią od marzeń i budzą reakcyą. Wyjąwszy ludzi, którym dobrze w niewoli, nikt już nie wierzy w nieoconione serce Aleksandra II. Otóż wam będę opowiadał różne sprawki tych białych Negrów, u nas zapalonych miłośników caryzmu. Uwzięli się przekonać i tą razą cara, jak im żyć słodko pod jego jarzmem, tém więcéj, że widzieli potrzebę zatrzeć przykre wrażenie, jakiego doznał w Kamieńcu, gdzie zebrana szlachta przygotowała petycyą, w któréj wyliczyła różne krzywdy wyrządzane krajowi—jak prześladowania religii, języka, i narzucanie Moskali na urzęda. Car nie pozwolił petycyi sobie wręczyć, i zfukawszy zebranych obywateli, chmurny ruszył ku Warszawie. Ale wnet rozpogodziło się oblicze jego. W Białocerkwi Konstanty Branicki przyjął go łowami i asztą, nie zapominając wyraźnie rodzinnéj wdzięczności dla domu Romanowów za rozbiór Polski, bez czego byliby pozostali chudémi pachołkami, bo jak wiadomo, narodowémi dobrami został zbogaconym przez Katarzynę ich przodek obrzydliwéj pamięci Franc. Ksaw. Branicki. Przejęty za to uczuciem potomek, roztacza na przyjęcie prawnuka téj dobrodziejki swego domu przepych azyatycki, przez dwa dni rozrzuca krocie, aby okazać niewygasłą wdzięczność za łup odziedziczony po zamordowanéj ojczyznie.

August Potocki w Wilanowie jak zawsze bawił i tą razą cara polowaniem. Rzucono mu za to order, dawniéj kiedyś wynagrodzono go tytułem koniuszego, bodajnie jest i szambelanem dworu—cóż więcéj potrzeba na dowód łaski carskiéj? Są wprawdzie obrońcy Aug. Potockiego, tłómacząc go niepospolitém głupstwem. Ja zaś sądzę, że każda podłość jest synonimem głupstwa, jak cnota prawdziwego rozumu.

W saméj Warszawie znalazło się grono tak męczyzn jak kobiet, które obiegało cara bezustannie aby go bawić, rozweselić, i sprowadzić uśmiech zadowolenia na twarz jego. Panie i panny nie szczędziły najzalotniejszych spojrzeń, najdwuznaczniejszych słówek, a widząc, że cel osiągają w przedstawianych żywych obrazach pod osłoną z gazy, za cały ubior przywdziały trykoty. Wtenczas podobno dobry monarcha—jak go to grono zwykło nazywać—łaskawie się uśmiechał mówiąc do obecnych: że mu się Polki bardzo podobają. Ale żadne poczciwe usta nie skalałyby miana Polki, podciągając pod nie tak upadłe kobiety. Otóż ich nazwiska. Panie: Chrapowicka, Czapska, Kossakowska, Prozorowa, Janowa Łubieńska. Panny: Ilińska, Podowska, Poradowska, Wiarogórska, Zabłocka. Obecnie zajmujący się wydaniem nowém Długosza, bawiący się przez długie lata w archeologią Aleksander Przezdziecki układał tę krotofilę ku ryzrywce cara, i powołał na aktorów do niéj oprócz wymienionych kobiet: Bujnę, Czarnockiego, dwóch Kossakowskich, Grabowskiego, Lubienieckiego, Konst. Przezdzieckiego, Pęcherzewskiego, Prozora, Skarbka, Włodka.

Z drugiéj strony na pociechę przyznać trzeba, że opinia co raz żywiéj objawia się u nas; niedawno jeszcze podobne sprawki przyjmowano z szepczącą naganą, dziś z wyraźném i głośném oburzeniem. Wiem z pewnego źródła, iż pani i pannie Podowskiéj drzwi kilku uczciwych domów przed nosem zatrzaśnięto. Może się to nadarzyło i komuś więcéj z osób błaznujących ku uciesze cara, nie słyszałem jednak od naocznych świadków.

Pokazywano mi w tych dniach synów zmarłego jenerała Dwernickiego, dwóch najstarszych Klemensa i Józefa,—zadrzałem,—bo czyż uwierzycie, w mundurach moskiewskich. Że matka cudzoziemka nie pojmuje, jak ciężki grzech popełnia względem pamięci męża swego, łatwiéj się przebacza; ale cóż myśleć o protektorach, którzy dzieci walecznego obrońcy ojczyzny oddali na zepsucie wrogom? Jan, najstarszy z trzech braci, umieszczony na koszcie rządu w instytucie szlacheckim w Warszawie. Nie wiem, czy wiécie, co to jest taki instytut czystego pomysłu moskiewskiego? Oto wszystko obliczone na to, aby zdusić uczucie polskie co do iskierki w sercach wychowańców, ułatwić im zdemoralizowanie, stępić umysł uczeniem, tak że przeszedłszy cały kurs nauk, wychodzą zupełnémi nieukami i zniedołężniałymi na rozsądku. Z tego umieszczenia młodych Dwernickich pokazuje się, co to za ludzie, co ich wzięli pod swoję opiekę.

Opowiadają tutaj, że gwoździem do trumny zmarłego redaktora *Gazety Warszawskiéj* miała być sprawka następująca. Pracujący w redakcyi tego pisma dostrzegli, iż *Gazeta Codzienna*, pod redakcyą J. I. Kraszewskiego, czerpie czasami wiadomości z Dziennika Poznańskiego surowo tu zakazanego. Chcąc się dowiedzieć, zkąd przychodzą do tego pisma, ktoś pracujący przy *Gaz. Warsz.* zaprosił jednego spółpracownika *Gaz. Codz.* na butelkę i tam wydobył z niego, że pismo poznańskie nadsyłane bywa im wprost z miejsca. W trzy dni potém policya naszła biuro *Gazety Codz.* i jenerał Pauliczi rozpoczął surowe śledztwo; zanosiło się nawet, że wydawanie *Gazety Codziennéj* zakazanym będzie. Spotkały zarzuty Lesznowskiego o ściągnienie tego śledztwa, aby tym sposobem zabić niebezpieczną dla kieszeni współzawodniczkę, i to mu miało sprowadzić śmiertelny atak apopleksyi. Znający jednak bliżéj stósunki zapewniają, iż zmarły redaktor w téj całéj sprawie zupełnie był niewinnym, gdyż od niejakiego czasu nie mieszał się do zachodów gazeciarskich, mając zdolnych zastępców; tych podejrzywają nie bez powodu, że rozdraźnieni powtarzającémi się sporami z *Gazetą Codzienną*, postanowili jéj się pozbyć jakimbądź sposobem, choćby i tak nieszlachetnym. Jednakże policya rzeczy nie brała surowo, zagroziwszy, nie wstrzymała wydawania pisma. Obecnie nastąpiło pojednanie pomiędzy wojującémi obozami gazeciarskiémi na ich chwałę i dla dobra publicznego.

Gazeta Warszawska, choć już nie ma monopolium na wyborowych czytelników, ale ciągle ma znaczne koło swoich zwolenników, zawsze w kierunku postępowym i dobrze redagowana. *Gazeta Codzienna* powiększyła format do objętości, jaką mają zwykle dzienniki francuzkie, redagowana co raz staranniéj. Kronberg, izraelita milionowy, nie szczędzi kosztów; do tego czasu, jak słyszałem, ponosi jeszcze znaczne straty. Z tego powodu zrzekł się téż Kraszewski swojéj redaktorskiéj pensyi 6C00 rubli rocznie.

Kraszewski, ten zadziwiająco-produkujący umysł nie tylko ilością, ale i rozmaitością działów umiejętności, o których pisze ze znajomością rzeczy, równie jest obfity i co do zasad, i nie ma pewnego środka, gdzieby się jego pojęcia polityczne i społeczne zbiegały, ale dąży w kierunku piérwszéj lepszéj myśli, która mu się świetnie rozsnuwa. Najdokładniejszém odbiciem jego zapatrywania się na własny naród jest niedawno wydane dziełko pod napisem *Wieczory Wołyńskie*. Myśli jego rozbiegają się tu w nieprzeliczonych kierunkach; nie wracając do ogniska i nie rozwiązując założenia, krzesze zasady jak iskry z krzemienia, jedna po drugiéj wybłyska i gaśnie, najczęściéj bez spójni pomiędzy sobą. Pełno w tém dziełku miejsc zachwycających prawdą, ale i nie mało oburzających uczucie polskie, choć wszędzie intencya autora czysta. Wielka łatwość umysłowa i jéj nadużywanie wyczerpuje wyraźnie Kraszewskiemu siły, ztąd co raz większy brak w jego pracach—po za dziedziną belletrystyczną—całości, loiki, jednolitości i prawdziwie męzkiego ducha; pisze co raz miękczéj.

Z jego téż natchnienia obchodzono tutaj stuletni dzień urodzin Szylera. Niemcy nie tylko że czcili wielkiego narodowego poetę, ale mieli jeszcze i cel polityczny poświadczający jedność Niemiec. Żaden též inny naród nie wpadł na koncept sekundowania im oprócz Polaków w Warszawie. Czyby to zrobili dla tego, że im nie pozwolili nawet żałobnego nabożeństwa za narodowych wieszczów Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, i radzi byli, że mogą uwieńczyć popiersie choć już niemieckiego poety, prawić na cześć jego mowy i wykonywać kantaty? Mnie się zaś zdaje, że entuzyazmować się w miarę pozwolenia policyi nie może być potrzebą duszy, ale raczéj jest to lekkomyślną i niekoniecznie godną rozrywką ludzi stojących na świeczniku oświaty w kraju.

LONDYN, W Drukarni Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.